

CALIMA

MARCIN WARCHOŁ

TENERYFA MNIEJ ZNANA

MARCIN WARCHOŁ

CALIMA

© Copyright by Marcin Warchoń & e-bookowo

Projekt okładki: Adam Warchoń
Źródło zdjęcia: www.pixabay.com
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-208-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie 1 rok 2021

Żonie, oczywiście

I

Stary pick-up posuwał się powoli nierówną kamienistą drogą. Mijał opustoszałe winnice – niewielkie tarasy zawieszono nad wąwozem zakurzonej zieleni. Wulkaniczne łupki chrobotwały pod szerokimi kołami pojazdu i staczały się wolno w dół zbocza. Kierowca znał dobrze ten zagubiony wśród zarośli szlak, ale dziś musiał być bardziej ostrożny niż zwykle – bowiem całą wyspę spowijała od kilku dni *calima*¹. Za sprawą przywianego z Sahary piasku, świat przybrał barwę sepii ze starych fotografii.

Samochód minął ruiny dawnej przepompowni i wjechał na wąską, stromą, betonową drogę z charakterystycznymi antypoślizgowymi żłobieniami. Nachylenie jezdni było tak duże, że mężczyzna musiał oprzeć się silniej o kierownicę, aby nie ześlizgnąć się z wyliniałego fotela. Pozbawiony klimatyzacji wóz wypełniał drażniący nozdrza pył. Wdzierał się on we wszystkie zakamarki auta i skutecznie utrudniał oddychanie. Wisząca w powietrzu nieruchoma zawiesina podniosła temperaturę otoczenia do prawie czterdziestu stopni. Nie pomagały otwarte okna ani mały wiatraczek, który charkotał pod lusterkiem – mężczyzna co chwila przecierał zakurzone oczy rękawem lnianej ko-

¹ *calima* (hiszp.) – zmętnienie powietrza wywołane przywianym z Sahary pyłem

szuli i wypluwał skrzypiący między zębami piach na zewnątrz samochodu. Powietrze było tak suche, że mimo wysokiej temperatury ciało przestało się pocić, a wypita woda zamieniała się w błoto jeszcze zanim zdołała dotrzeć do trzewi. Mężczyzna przekręcił gałkę radia. Wiedział, że w tym miejscu powinno być już słycać rozgłosnię ze stolicy. W głośnikach zacharczał głos lekarki zaproszonej do stacji, ostrzegający przed skutkami wdychania zapyłonego powietrza:

Badania przeprowadzone w uniwersyteckim szpitalu w Santa Cruz w latach 2007–2014 potwierdziły, że śmiertelność wśród pacjentów oddziałów kardiologicznych w czasie calimy jest znacznie wyższa niż w normalne dni. Związki zawarte w pustynnym pyłe mogą być groźne dla alergików. To nie tylko podrażnienia dróg oddechowych czy oczu, ale nawet wyższy odsetek samobójstw...

– Tylko się zabić! – pomyślał mężczyzna i przetaił szmatą przednią szybę. W tej samej chwili chmara wielgachnych owadów wypadła z kurzawy i rozbijała się o karoserię samochodu. Część insektów wleciała do szoferki i biła po twarzy kierowcę. Wyglądały jak skrzyżowanie ważki z konikiem polnym i mężczyzna był pewny, że nigdy ich tu wcześniej nie widział.

– Co u licha? – zastanawiał się głośno.

Odpowiedź przyszła równie szybko jak pojawiły owady. Prosto z radiowego odbiornika:

– Informowaliśmy już wcześniej na falach naszego radia, że w Afryce pojawiła się, na niespotykaną od dziesięcioleci skalę, plaga szarańcży. Pustoszy ona uprawy, co grozi niedoborami żywności. Może nawet głodem. Biedna Afryka. Znów tego doświadczają. Niestety, mamy doniesienia, że szarańcza wraz z calimą dotarła również na naszą wyspę...

– Niech to szlag! Tylko szarańczy tu brakowało. Ciekawe, co będzie następne? Powódź, trzęsienie ziemi czy wybuch wulkanu? – wściekał się już głośno mężczyzna.

Szarańcza zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. *Calima* została. Żaden inny kataklizm się nie pojawił. Na razie...

Za to nieco niżej, z rzadka zaczęły pojawiać się pierwsze domostwa – skromne zabudowania tutejszych wieśniaków trwających z uporem na tych górskich stokach. Zbudowane z miejscowego kamienia lub pumeksowych bloków, nieco zaniedbane chatki z izbami często wydłubanymi bezpośrednio w wulkanicznej skale. Niewielkie podwórko z kilkoma plastikowymi krzesłami i jakimś wykoślawionym stolikiem. Małeńkie patio zwykle obrośnięte winoroślą dającą cień w upalne dni i podjazd dla samochodu – najczęściej starej terenówki lub pick-upa. Kanałami poprowadzonymi wzdłuż drogi płynęła woda – górska, zasilająca plantacje trzciny, bananów i winnice w dolinie. Stara Ruta del Agua² – architektoniczne arcydzieło dawnych budowniczych. Gęsta sieć kanałów przeplatała okoliczne wzgórza niczym ogromna pajęczyna. Przy lepszej widoczności można byłoby dojrzeć niezwykle *Mil de Ventanas*³ – wydrążone w pionowej skale nad kilkusetmetrową przepaścią tunele wodne z dziesiątkami okienek.

Kierowca z wyczuciem prowadził samochód, uważając, żeby jego koła nie wpadły do wodnych rynien. Droga była na tyle wąska, że mijanie się możliwe było jedynie w kilku szerszych miejscach – najczęściej w zjazdach do gospodarstw. *Calima* na tyle ograniczała

² *Ruta del Agua* (hiszp.) – Droga Wody – system kanałów wodnych w okolicach miasta Güímar.

³ *Mil de Ventanas* (hiszp.) – Tysiąc okien – potoczna nazwa kanałów wydrążonych w skale w okolicach Güímar.

widoczność, że nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd mógł wyłonić się z kurzawy na kilka metrów przed maską. Miejscowi kierowcy nie używali świateł nawet przy tak słabej widzialności, więc nie można było liczyć na to, że dojrzy się ich na czas. Niefrasobliwość Kanaryjczyków była czasem irytująca, ale mężczyźnie było to na rękę – im mniej zwracali na niego uwagę, tym lepiej. Od dawna krył się przed ludzkim wzrokiem. Wybrał to miejsce, bo w przeciwieństwie do bardziej popularnych rejonów wyspy, jak góry Anaga⁴ czy masyw Teno⁵, tutaj nie zapuszczali się ani wypiarze, ani turyści. Nie było hoteli ani szykownych domków weekendowych należących do bogatych *Chicharreros*⁶. Najbliższy sąsiad znajdował się po drugiej stronie *barranco*⁷ – głębokiego wąwozu pełnego kolczastych *cardones*⁸. Kiedy kilka tygodni temu wyspa doświadczyła całkowitego *blackoutu*⁹, on nawet tego nie zauważył. Po paru dniach od awarii zjechał z gór i wysłuchiwał po wielokroć wciąż żywych relacji z tego wydarzenia:

– *Przez kilkanaście godzin nie było prądu! Nie pracowały stacje paliw, wysiadła klimatyzacja, lodówki się rozmrażały, w kranach przestała płynąć woda! Nie było Internetu i przestały działać telefony. Istny armagedon!*

W jego domku w górach pracował agregat prądotwórczy, używany zresztą tylko w razie potrzeby, woda płynęła z gór, a piecyk opalany był drewnem. Była też kuchenka gazowa z niewielkim czajnikiem. Ani telefon, ani komputer nie przestały

4 *Anaga* – masyw górski w północno-wschodniej części Teneryfy.

5 *Teno* – góry w zachodniej części wyspy.

6 *Chicharrero* – mieszkaniec Santa Cruz de Tenerife (stolicy wyspy).

7 *barranco* (hiszp.) – wąwóz

8 *cardones* (hiszp.) – popularny na wyspie gęsto rosnący krzak kaktusa

9 *blackout* (ang.) – awaria sieci zasilania

działać, bo ich tam nie było. Mężczyzna ich nie potrzebował. Lubił być niezależny. Od czegokolwiek i kogokolwiek, ale nie stanowiło to celu samo w sobie. Ot, jedno z dziwactw samotnego faceta w średnim wieku. Dawno przestały go interesować światowe nowinki, nie ciągnęło go też do ludzi. Nie dlatego, żeby ich nie lubił, ale wydawali mu się coraz mniej ciekawi, bardziej szablonowi i przewidywalni. Zabiegani wokół swoich spraw i powtarzający oklepane mantry zasłyszane gdzieś w telewizorze czy Internecie, coraz mocniej go irytowali. Z wiekiem zaczął szanować swój czas i nie chciał tracić go na błahe, z jego perspektywy, sprawy. Dawniej lubił teatr, literaturę, muzykę, ale ani na scenach od lat nie działo się nic interesującego, ani nawet nikt nie nagrał żadnej porządnej płyty, jak oceniał, gdzieś od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Kiedy zauważył, że zwrot „lata ubiegłego wieku” jest natarczywie używany w mediach, uznał, że jest reliktem przeszłego stulecia. Pogodził się z tym i przeniósł w góry.

Dziś *calima* otuliła go dodatkowo nieprzeniknioną zasłoną, więc jedynie warkot półciężarówki dawał znać o jego istnieniu. Samochód posuwał się dalej, tymczasem w radiostacji pojawił się jakiś piosenkarz i naukowiec z uniwersytetu w La Laguna¹⁰. Redaktor rozpoczął filozoficznie:

– *Calimy nie lubimy. Trudno, żeby było inaczej. Ograniczenie widoczności, zmęczenie, infekcje dróg oddechowych i trudności w oddychaniu to tylko niektóre z objawów, jakie towarzyszą temu zjawisku. Mieszkańcy wyspy są wtedy poirytowani i rozdrażnieni. Na ulicach jest więcej agresji, wzrasta liczba wypadków drogowych, a szpitale*

¹⁰ La Laguna de Santa Cruz – miasteczko uniwersyteckie niedaleko Santa Cruz; pierwsza stolica wyspy.

odnotowują wyższą śmiertelność. Żrący pył wciska się w każdą szparę. Tarasy, okna, samochody – wszystko to pokrywa szczelna warstwa pustynnego kurzu. Nie sposób się przed nim ukryć. Zmętnienie, bo taką nazwę nosi to zjawisko, to ograniczenie widoczności spowodowane zawiesiną pyłów i aerozoli w powietrzu. Nie mylić z mgłą, która składa się z cząsteczek wody.

– Na Kanarach calima pojawia się często – prowadzący oddał głos swojemu gościowi. – Związane jest to z burzami piaskowymi nad Saharą. Wznoszone nad pustynią pyły i piaski wędrują z wschodnimi wiatrami nad ocean, docierając do Wysp Kanaryjskich. Chmury saharyjskiego piachu widać nawet z kosmosu. Astronaucci obserwują je, jak posuwają się nad oceanem; udostępniają nam potem wspaniałe fotografie tego niezwykłego zjawiska. Kolejne okrążenie stacji kosmicznej po orbicie i zawiesina pyłu przysłaniająca coraz rozleglejsze połacie oceanu. Mija Wyspy Kanaryjskie, przelatuje Atlantyk, aż wreszcie dociera do Ameryki Południowej. Ustalono, że corocznie tylko w rejon Amazonii dociera z Afryki około dwudziestu siedmiu milionów ton saharyjskiego piasku. I jest to piach życiodajny. Okazuje się bowiem, że tak nie lubiany przez Kanaryjczyków pył jest bogaty w wartościowe składniki; między innymi związku fosforu, który jest cennym nawozem. Gdyby nie on, Amazonia wyglądałaby zupełnie inaczej. To pierwiastki przyniesione wraz z calimą użyźniają jałową z natury amazońską glebę i powodują, że zielone płuca naszej planety eksplodują w tysiącach form życia – rozkręcał się naukowiec.

– A może calima to po prostu tęsknota rozdzielonych kochanków – wtrącił się artysta z południowoamerykańskim akcentem, który jak na przedstawiciela kultury, siedział już zbyt długo cicho.

– Pamiętamy, że Ameryka Południowa tworzyła wraz Afryką jeden ląd. Pasują do siebie lepiej niż przereklamowane połówki pomarańczy. Maghreb dotyka ziemi północnych Indian, wypukłości Pernambuco idealnie wypełniają wklęsłości Zatoki Gwinejskiej, a Patagonia czule muska Namibię. Uzupełniają się niczym para idealnych kochanków. Rozdzielone piekielnymi siłami muszą jednak żyć w rozłące. Oddalone, oddzielone nieprzyjaznym oceanem, coraz mniej mają za sobą wspólnego. Ot, jakieś kopalne zapiski prahisterycznych gadów czy podobna budowa geologiczna na obu kontynentach przypominają o wspólnym pochodzeniu. Czy znalazłyby dzisiaj wspólny język, gdyby odwrócić proces i połączyć je znowu? Trudno odbudować starą miłość po latach rozdzielenia. A tu mówimy o milionach lat bez siebie. Cóż pozostaje? Posłać miłosny obłok z kontynentu na kontynent. Pełen życiodajnych pierwiastków pył.

Redaktor prowadzący audycję postanowił spuentować te przydługie wywody:

– Wybaczymy *calimie*, że czasem zatyka nozdrza, drażni oczy i drapie w gardle – miłość tak już ma.

I z głośnika popłynęła nowoczesna hiszpańska muzyka. Tego było mężczyźnie za dużo – wyłączył odbiornik.

Ostatnia górską *finca*¹¹ została za nim i wjechał niezauważony do miasteczka. Powoli przeciskał się między gęstymi zabudowaniami, minął niewielki kościół i zatrzymał się przy budynku, który mieścił w sobie pocztę. Wszedł do środka, otrzepując z siebie kurz.

– ¡*Hola guapas!* ¿*Que tal?*¹² – rzucił od drzwi.

– ¡*Calima!* Gorąco... – odpowiedziały równocześnie dwie pulchne pracownice królewskiej poczty Hiszpanii.

¹¹ *finca* – (hiszp.) wiejski dom, gospodarstwo

¹² ¡*Hola guapas!* ¿*Que tal?* – (hiszp.) Cześć, ślicznotki! Jak leci?

– Miejmy nadzieję, że niedługo to przewieje. Macie coś dla mnie?

– Dwie paczki z kontynentu. – Kanaryjska piękność z trudem podniosła się z krzesła i poczłapała do półek z przesyłkami. Po chwili przyniosła dwa zawiniątka. Mężczyzna podpisał kwitek i skierował się do wyjścia.

– Do zobaczenia następnym razem.

– *¡Hasta luego!*¹³ – Kobiety nawet nie spojrzały na wychodzącego klienta i pogрузyły się z powrotem w marazmie. Mężczyzna rzucił pakunki do szoferki auta i skierował się do pobliskiej apteki, gdzie zabawił równie krótko. Bar był tuż obok.

– *¡Hola Alfredo!* – W głębi ciemnego lokalu dojrzał właściciela.

– *¡Hola Chico! ¿Que tal?*¹⁴ – Alfred, choć niewiele starszy od przybysza, do wszystkich klientów mówił „chłopcze” lub „dziewuszko”.

– *Todo va bien*¹⁵ – odparł mężczyzna – z wyjątkiem tego saharyjskiego gówna w powietrzu, oczywiście.

– Takiej *calimy* nie widziałem od dziecka – wydyszał gospodarz, a siedzący przy barze seniorzy jak jeden mąż potwierdzili:

– *¡Verdad, verdad!*¹⁶ – I jakby na komendę podnieśli równocześnie swoje szklanki.

– Dawno cię nie było. Zdziczejesz w tych górach. Co podać?

– Dzbanek czerwonego wina będzie w sam raz na ten upał – odparł. – Jak zresztą na każdą inną pogodę – dodał w myślach.

– *¡Verdad, verdad!* – zawtórował chór ojczulków przy blacie.

– *Vino tinto*¹⁷. Litrowy dzbanek?

13 *¡Hasta luego!* (hiszp.) – Do potem!

14 *¡Hola Chico!* (hiszp.) – Witaj, chłopczę!

15 *Todo va bien* (hiszp.) – Wszystko (idzie) dobrze.

16 *Verdad* (hiszp.) – prawda

17 *Vino tinto* (hiszp.) – czerwone wino

– Na początek pół litra wystarczy. Chciałbym też skorzystać z twojego komputera. Muszę sprawdzić pocztę.

– Wciąż nie masz telefonu? – Zaśmiał się barman, a trzej seniorzy równocześnie sięgnęli po swoje „wypasione” komórki. Było pewne, że nie bardzo umieli je obsługiwać, ale nawet w ich pokoleniu wszyscy wiedzieli, że bez smartfona ani rusz. Gdyby ktoś chciał zadzwonić, wysłać wiadomość... czy trzeba było skomentować coś na *Libro de Caras*¹⁸. Nieważne, że ci, którzy ewentualnie mieliby się kontaktować, siedzieli od rana do wieczora w tym samym barze.

– Siadaj przy stanowisku – zakomenderował Alfredo.

„Stanowisko” było małym kwadratowym stolikiem na pokrzywionych stalowych nogach, wyściełanym ceratą pamiętą pewnie ostatnią wizytę generalissimusa Franco na wyspie. Na stoliku stał klasyczny kineskopowy monitor, a poniżej leżała ufajdana zastygłym błotem klawiatura i myszka wielkości sporego szczura. Mężczyzna odpalił starego PC-eta i czekał dłuższą chwilę na załadowanie się systemu operacyjnego. Na ceracie pojawiło się wino, woda i oliwki na zagryzkę. Nalał wina do musztardówki, uzupełnił wodą i wypił na raz. Znów napełnił szklankę, kiedy na wyblakłym ekranie pojawiła się powitalna tapeta. Zanim komputer załadował pocztę, mężczyzna opróżnił kolejne dwie szklanki. Barman bez pytania zamienił dzbanek na pełen.

– ¡Aprovecha!¹⁹ – powiedział i poklepał siedzącego przy komputerze mężczyznę po ramieniu.

¹⁸ *Libro de Caras* (hiszp.) – Facebook (dosł. książka twarzy)

¹⁹ ¡Aprovecha! (hiszp.) – Smacznego!

– ¡Gracias Amigo!²⁰ – ten odparł automatycznie, ale nie odwrócił nawet głowy od ekranu. Jego uwagę przykuła bowiem niespodziewana wiadomość znaleziona w skrzynce pocztowej. Przeleciał szybko przez nagromadzony spam i zapytania od armatora o to, kiedy będzie gotowy do wyjazdu na statek. Odpowiedział w kilku zdaniach, aby dali mu jeszcze kilka tygodni wolnego i zobaczył e-mail wysłany przed kilkoma dniami. Przez chwilę wahał się, czy w ogóle otworzyć wiadomość, ale już sekundę później czytał:

Drogi Robercie!

Przepraszam, że nie odzywałam się tak długo. Po prostu nie mogłam. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Nie rozumiał. Próbował. Przyjmował jej argumenty, ale ich nie podzielał. Nie pogodził się nigdy z tym, że zaprzepaścili swoją szansę. Kiedy powiedziała, że nie mogą być dłużej razem, wyjechał z Polski do pierwszego miejsca, jakie przyszło mu do głowy. Padło na Wyspy Kanaryjskie – najdalszy zakątek Unii Europejskiej. Było wystarczająco daleko, a jednocześnie wciąż w zasięgu Starego Kontynentu, co upraszczało wiele spraw – jako obywatel Unii Europejskiej nie potrzebował wiz, a z polskim paszportem i odpowiednią sumą na koncie od ręki dostał rezydenturę. W biurze podróży powiedziano mu, że najbliższy samolot odlatuje na Teneryfę. Potwierdził, że chce bilet w jedną stronę.

Wiem, że masz do mnie żal i nie pisałabym, gdyby to nie było ważne – czytał dalej.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście odczuwał względem niej jeszcze cokolwiek. Minęło tyle czasu. Ile to już lat? Siedem? Osiem? Odkąd osiadł na wyspie, odizolował się od ludzi. Od-

²⁰ ¡Gracias Amigo! (hiszp.) – Dziękuję, Przyjacielu!

powiadało mu to. Zaszył się w górskiej głuszy; nie potrzebował wiele do życia. Miał swoje książki, które odbierał co jakiś czas z poczty w Güímar. W niewielkim domku uprawiał winorośl i podstawowe warzywa. Kiedy potrzebował lekarza, apteki czy niezbędnych zakupów, zjeżdżał do miasteczka. Ostatnio zdarzało się to coraz rzadziej. Coraz mniej potrzebował kontaktu z ludźmi, choć szczerze się cieszył, kiedy spotykał starych przyjaciół czy nawet znajomych Kanaryjczyków. Ot, choćby tych starszusków wpatrujących się wciąż w swoje telefony i popijających wino od rana do wieczora. Dawniej dużo nurkował w okolicznych wodach i chodził po tutejszych górach, ale teraz nawet to zdarzało się coraz rzadziej – jedynie wtedy, kiedy najbliżsi przyjaciele upierali się, żeby go wyciągnąć z domu. Kiedy kończyły mu się pieniądze, dawał znać armatorowi, że jest gotowy do wyjazdu na statek. Zamykał drzwi swojej sadyby i mustrował na kilka miesięcy gdzieś w odległym porcie. Jako doświadczony kapitan nie miał problemu ze znalezieniem pracy. Czas na statku szybko mijał i znów wracał do swojej samotni w górach.

Wiem, że mieszkasz wciąż na wyspie, więc jesteś pierwszą osobą, o której pomyślałam. Poza tym chodzi o Zosię, a przecież traktowałeś ją zawsze jak własną córkę.

Robertowi przeleciały przez głowę wspomnienia, o których chciał zapomnieć. Zosia – ta wspaniała dziewczyna. Znał ją od małego i nie tylko traktował, ale też kochał jak córkę...

Otóż Zosia poleciała na Teneryfę i ślad po niej zaginął. Nie odzywa się od blisko tygodnia. To do niej niepodobne. Zawsze do mnie dzwoni. Praktycznie codziennie, a teraz nic, cisza. Powiadomiłam lokalną policję, ale oni twierdzą, że to częste, że młodzi ludzie, którzy przyjeżdżają na wyspę zaczynają balować, pić, nawet

ćpać i zapominają o wszystkim. Może tak i jest, ale nie wierzę, żeby Zosia przez tyle dni mogła...

Robert słyszał wielokrotnie o tym, co wyczyniają turyści na Teneryfie i wiedział, że to typowa i zrozumiała reakcja tutejszych stróżów prawa. Niejednokrotnie zaalarmowani przez rodziców, szukali młodych wczasowiczów, którzy po kilku dniach budzili się z pijacko-narkotykowego letargu gdzieś na jakiejś dzikiej plaży. Nie podejrzewał, żeby Zosia mogła się tak zachowywać. To przecież zawsze była ułożona i odpowiedzialna dziewczyna. A może to tylko rodzicielskie wyobrażenia? Młodzi potrafią przecież zaskakiwać. Najczęściej rodziców, którzy wierzą, że ich dziecko nigdy nie zrobiłoby tego czy owego. W końcu kiedy ostatnio widział Zosię, miała siedemnaście lat. Nie był już z jej matką, ale wciąż miał świetny kontakt z dziewczyną. Widać było, że odziedziczyła urodę po mamie i wkrótce przeobrazi się w piękną kobietę. Jednocześnie była świetną uczennicą, doskonale dawała sobie radę w najlepszym trójmiejskim liceum i miała konkretne plany na przyszłość. Chciała studiować za granicą i zrealizowała to. Po ukończeniu politechniki zaproponowano jej pracę w znanej niemieckiej firmie farmaceutycznej. Z tego, co słyszał, robiła tam zawrotną karierę...

Zatrzymała się w hotelu przy plaży Agama – poniżej podana była nazwa i adres hotelu.

Robert znał to miejsce doskonale. Jedno z najbardziej luksusowych noclegowni w południowo-zachodniej części wyspy. Kiedyś bywał tam dość często. Przypomnił sobie, że w recepcji hotelu pracowała tam kiedyś pewna Polka. Może będzie mogła pomóc.

Proszę Cię, czy mógłbyś się rozejrzeć i ją odnaleźć? Znasz wyspę i lokalne stosunki. Bardzo się martwię. Ilona

Tyle lat czekał, żeby się odezwała. Żeby napisała lub zadzwoniła. Powiedziała: „Przepraszam – potrzebowałam czasu, ale jeśli wciąż...” Rzuciłby wszystko i wrócił do Gdyni. Do kobiety swojego życia.

Odpisał w kilku zdaniach, że popyta znajomych i się rozejrzy. I że nie powinna się martwić. Dopił wino i ruszył do drzwi.

– Muszę lecieć, Alfredo! Do zobaczenia następnym razem! – Rzucił banknot na blat i wyszedł na zewnątrz.

– ¡*Hasta la vista, Comandante!*²¹ – dobiegł go głos barmana, kiedy wchodził już w mgłę pustynnego pyłu. Wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie. Mijał opustoszałe ulice miasteczka i dopiero po kilku minutach zorientował się, że nie wie, dokąd jedzie. Zjechał na parking w pobliżu Pirámides de Güímar²². Patrzył na baner reklamowy piramid z obliczem znanego norweskiego podróżnika i badacza dawnych kultur – Thora Heyerdahla i myślał o Gdyni, Ilonie, Zosi... – Co się mogło stać? – pytał sam siebie.

Chwilę później pędził już autostradą w kierunku Los Cristianos²³. Włączył znów radio, żeby zagłuszyć myśli.

21 ¡*Hasta la vista, Comandante!* (hiszp.) – Do zobaczenia, Komendancie!

22 *Pirámides de Güímar* – Piramidy Güímar – kompleks sześciu kamiennych piramid niewyjaśnionego do dziś pochodzenia i przeznaczenia.

23 *Los Cristianos* – miejscowość turystyczna na południu Teneryfy.